

Ładne tęczowe skarpetki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

Wiedzieć, że pamięć jest tandetnym tingel-tanglem – to mało. Mieć ciemną pewność, jak Kantor ongiś, że proceder wywoływania wspomnień jest gestem szemranym, niezbyt czystym, zaludniającym wnętrze głowy indywiduami miernymi, podejrzanymi kreaturami, całym tym bagnem lichej scenografii, nieudolnie kalkującej domy i rzeczy dawno obrócone w ruinę, bagnem fatalnych aktorów, bez pardonu malpujących odległe twarze i gesty – to prawie nic. Ot, marność śrubek i zębatach kółek rozmontowanego zegarka. Masz niby wszystko, co trzeba – tylko nie wiadomo, która godzina. Masz wszystko, ale tykanie jest trupem.

No, która godzina? Agata Duda-Gracz wyreżyserowała w teatrze Scena STU „Romeo i Julię”, uczciwie mówiąc – pokazała intymną wariację na temat Szekspirowskiego arcydzieła. Julia Dudy-Gracz przeżyła. Później przeszło bardzo wiele wiosen. Julia jest już starszą. Niewiele lat przed nią. Lat? Minut raczej. Leży oto na szpitalnym wyrze żeliwnym i stygnie. Ktoś wyrecytuje za Szekspirem: „*Przed egzekucją skazancom podobno zdarza się chwila euforii. Dozorcy zważ taki moment ostatnim przeblaskiem*”. Stygnie więc Julia, stygnie i majaczy, albo wiem przeblask ją dopadł. Opowieść Dudy-Gracz będzie dygotem obrazów pamięci Julii. Ile razy przez dwie i pół godziny seansu pytałem dygot o godzinę? Ile razy pytałem, w którym mianowicie kościele dzwonią i właściwie na jaką mszę teatralną?

Na groteskę? Na tragedię? Na komedię? Na niezręczne popłuczyny po filmowych ekscesach Quentina Tarantino? Na prowincjonalny koncert rocka gotyckiego? Na teatrzyk tańca nowoczesnego przy technikum gastronomicznym w Łomży? Na Krakowskie Reminiscencje Teatralne sprzed dwudziestu lat? Na występ drug queen w klubie Cocoon na Gazowej? Na operetkę dzień przed definitywną likwidacją? Na pokaz migania kolorowymi światłami? Na występ studentów, a raczej krańcowo wiecznych studentów, w ramach juwenaliów? Skoro wszystkie te poetyki sceniczne, plus jeszcze z dziesięć innych, porównywalnie zmaltretowanych, bez litości dygotają u Dudy-Gracz, skoro już koniecznie muszą się gryźć, kotłować, przewalać, miedlić wzajem, szturchać, popychać i bósć – to niechże, choćby tylko z największego grubsza, wiadomo będzie, w imię jakiego estetycznego sensu. No, która to godzina? Cisza.

Julie są trzy? Tak. A Romeo – w ilu wcieleniach się snuje? W dwóch. A gdyby wpuścić pań 18, a panów 47, bądź pań 7, zaś panów 6 – co się zmieni? Cisza. W takim razie ja poproszę o pół. Aktor Piątkowski przebrany jest za jakiegoś małego sycylijskie-

go cinkciarza. Już o nic nie pytam, z pokorą przyjmuję ciszę. Makijaż i uczesanie aktora Krzyżowskiego jako żywo przypominają Rudolpha Valentino w dziele „Syn szejka”. Cisza. Jeśli bardzo puszysta aktorka Noszczyk paraduje w majtkach uszytych (jeśli oczywiście prawidłowo sierść rozpoznałem) ze skóry mamuta – to powinienem, czy nie powinienem na reżyserski ten koncept patrzeć przez pryzmat znanej kreskówki „Między nami jaskiniowcami”, ściślej mówiąc – przez pryzmat Barniego Flinstone’a? Cisza. Co jeszcze?

Jeszcze Zbigniew Ruciński jako stary Gzysik z Kleparza, jeszcze Katarzyna Gniewkowska w charakterze paryskiej kokoty z przełomu wieków, jeszcze młodzian z mikrofonem w garści i w takim uczesaniu, że aż dziw, iż nie rozrywa koszuli, nie ukazuje ryb siną farbą kłutych i nie mówi: „*Jam jest Azja, syn Tu-hajbeja!*”. Kilka jeszcze postaci mniej cudacznych, no i perła – Tomasz Wysocki przebrany za babę! Kropka w kropkę – Dariusz Szpakowski w klubie gejowskim polujący na młode talenty piłkarskie! Która godzina?

Cała ta marna menażeria jakby wylała z głowy mającej starą Julii. Wylała, by się przed nią zlepić w erzac dawno gdzieś przepadłej miłości, by przed końcem powtórzyć stare uniesienia, niegdysiejsze łzy, tamte dalekie furie serca, tamte bóle. Stygnąca Julia chce pamiętać, chce raz jeszcze musnąć siebie w przeszłości, gołymi wylała z głowy, wylała – tyle że w nic się nie zlepią. Zostaje bałagan monsturalny, godna skotłowanej pierzyny góra, jakby Flaszen rzekł, wszystkoizmu scenicznego. Zostaje niesmak. Dwie i pół godziny kamiennej ciszy jako odpowiedź na serię pytań o sens.

Tak, w sztuce nie wystarczy wiedzieć, że pamięć jest tandetnym tingel-tanglem, lepkiem bagnem trzeciorzędnych kamediantów, czwartorzędnych kostiumów, pięciorzędnych dekoracji i sześciorzędnych światel. Trzeba jeszcze cały ten burdel marności chcieć obrócić w – ostrze brzytwy. Nadać mu jasność jednego tonu, jednego smaku, jednej intonacji – jak Federico Fellini w „Amarcordzie”, jak Bruno Schulz w „Skleпах cynamonowych”, jak Tadeusz Kantor w „Umarłej klasie” i „Wielopolu, Wielopolu”, albo jak... sama Duda-Gracz w niedawnym, olśniewająco czystym „Galgengeru” na Scenie Miniatura Teatru im. Słowackiego.

Jeśli obrazom, co Duda-Gracz nawiedzają w snach, Duda-Gracz palców na gardłach nie zacisnie – zmienia ją w dostarczycielkę scenicznego bałaganu. Jak w niedzielę w STU. Góra cudactw papuzich, a w środku Anna Polony jako stygnąca Julia. Drzemie. Gdy się ocyka – majta nóżkami. Migają tęczowe skarpetki. Nawet ładne, bawełniane. Pewnie miłe w dotyku. I jeśli o miłość idzie – toby było na tyle.

Teatr Scena STU.

„Romeo i Julia”

wg Williama Szekspira.

Scenariusz, reżyseria

i scenografia

Agata Duda-Gracz.

Muzyka Jakub Ostaszewski.